Nr. 3 Warszawa, 20 Stycznia 1912 roku. Rok XLVIII

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60, rocznie rub. 7 kop. 20.
Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.
CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelem lub jego miejsce „za tekstem" kop. 30; ogłoszenie zwyczajne kop. 20. „Nadesłane" kop. 75, marginesy rb. 6. Kolumna rb. 150. Załączniki rb. 6 za tysiąc.
CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO KOP. 20.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM.
Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ.
Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.
Drobnych rękopisów nie zwraca się.—Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

W Cesarstwie Austryackiem: We Lwowie w głównej ekspedycyi „Buszczu" Pasaż Hausmana 9, kwartalnie kor. 5, na prowincyi z przes. poczt. kor. 6.60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie kor. 5 na prowincyi z przesyłką pocztową kor. 6.60.
W W Ks. Poznańskiem dla abonentów „Dziennika Poznańskiego": w Poznaniu kwartalnie 3.60 marek z przesyłką pocztową 4.30 mk.

Jak słupy graniczne i jak dzwony zmartwychwstania...

Sto lat minęło, gdy pod spojrzeniem jednego małego człowieczka drżał świat.

Przyszedł nieznany, obcy. Jak panoramę kalejdoskopu, wziął w obie ręce ziemski glob. Wstrząsnął nim i zmieniło się ugrupowanie barwnych krążków, kół, kółek, figur, linii.

Niema już czarownika-mocarza, który był, jak cud; zginął samotny, wyklęty, ale żywiołowy jego odruch trwa i koła, figury, krążki kalejdoskopu nie wróciły na dawne miejsca, bo życie nie lubi powtarzać się w szczegółach, nowe ugrupowania jednak, jak kula, pchnięta raz silną ręką, powstają wciąż, a źródło potencyonalnej siły rozpędu to jeszcze dech Boga wojny.

— Kto on: człowiek czy myt, dobry geniusz czy wróg narodów? — pyta ludzkość przerażona, niepewna.

Ta ludzkość, która, jak dziecko, nie rozumie zjawy chwili i odejść musi od niej i zmężnieć i z oddalenia spojrzeć na szlak przebyty, na czyn dokonany, na tory wyżłobione, żeby dać nazwę temu, co było i po stutysięcznych pomyłkach znaleźć dla faktów dziejowych podłoże prawdy, wyciągnąć wnioski z przesłanek.

Legenda Napoleońska jest, jak ten słup graniczny, od którego poczynają się nowe porachunki świata.

Każdy okres historyi miał królów — duchów wojny, których pochód wichrowy znosił linie demarkacyjne państw, narodów, usuwał odległości, pustynię zmieniał w kraj ludny, stwarzał orgje nieprawdopodobieństw.

Aleksander, Hannibal, Cezar, Tamerlan, Karol Wielki.

Stulecia minęły, nim utrwalono karty ich dziejowe i dano im nazwę, bo... do sarkofagów wielkich zmarłych coraz z innym kagankiem zstępują pokolenia.

Przeszacowywują się wartości, zmieniają kąty widzenia. Rosną lub maleją w oddali dzieła olbrzymów.

Dla Napoleona wybiła godzina najsurowszych obliczeń. 1912 rok narzuca nam go przemocą.

Wielkie rocznice są, jak dzwony zmartwychwstania, wskrzeszające czyn, który nie zapadł jeszcze w otchłań dokonanych porachunków.

Wielkie rocznice, wciskając w ręce kaganki, każą schodzić do sarkofagów, odbijać wieka i patrzeć w twarz szkieletom, póki nie otworzą się skostniałe usta i nie przemówią same.

Wielkie rocznice — to łączniki nasze z przeszłością: święcić je czy przechodzić do porządku nad niemi? —

× × ×

Jest coś demonicznie paradoksalnego w życiu naszem dzisiejszem: wielkość i małość porywów, szaleństwo podświadomych odruchów, które ważą się na wszystko i — cicha, drobna, małomieszczańska lękliwość czynu. Jest rwanie się do potęgi, bieg na oszalałym smoku apokaliptycznym, który znosi wszystkie zapory: stupiętrowymi drapaczami strzela nad ziemię, wydziera źdźbłom radu tajemnicę niewyczerpanej energii, wzbija się pod niebo ptakiem — aeroplanem i leci na dno oceanu rybą-torpedowcem; przerzyna skały kilofem, nie zna nieprawdopodobieństw, wdziera się maszyną w piersi niebotycznych lawin, fotografuje widma, prześwieca kości ludzkie, stwarza cud po cudzie.

I są neurasteniczne opady woli, jest strach przed zuchwałością ducha ludzkiego, kamienne, ślepe przerażenie rzuconej w otchłań drobiny która nie obejmuje początku i końca lotu swego. Jest krzyk Prometeusza zwycięzcy i cichy jęk skutego łańcuchami więźnia dzikiej skały.

Z lampą Aladyna weszliśmy do czarodziejskich pałaców. Czego zażądamy, staje się. Znaleźlismy hasła wszystkich Sezamów. Chcemy światła lub perlistych wodotrysków?—Mamy je pod dotknięciem magicznych guzików. Pragniemy w odludnym kącie Europy usłyszeć amerykańskiego mówcę? — Nastawiamy płytę gramofonu i dźwięczą nam słowa bez zmiany.

Każdy sam w sobie jest osią świata. Telegraf, telefony, koleje, gazety, samochody zniosły odległość. Co chwila odbieramy wieści z najdalszych krańców.

Zdobyliśmy wszystko. Szczycimy się bogactwem naszem, a jednak — szlocha w nas nędza niemocy, bo, wydzierając życiu tajemnice, nie znamy jego samego, bo do całokształtu wszechświata zostajemy w tym samym mniej więcej stosunku, w jakim są psy i koty pokojowe do całokształtu życia ludzkiego. Mieszkają one w naszych bawialniach i bibliotekach. Biorą udział w scenach, o których znaczeniu nie mają najmniejszego pojęcia. Są one tylko stycznemi do krzywych historyi, których początki i końce, zarówno jak i kształty, przechodzą całkowicie po za obrębem ich ujęcia." (W. Jamas — Pragmatyzm).

. . . . . .

W szalonym pędzie nauki, odkryć, wynalazków, w zmienianych co chwila hasłach i nastrojach, we wrzawie dzienników, w orgii najzuchwalszych wzlotów ducha ludzkiego, jak dzwon, wybija nagle godzina wspomnień.

Rocznice!...

Ustaje galop myśli. Zawraca w tył apokaliptyczna chimera ikarowych wysiłków. Przeszłość chwyta za bary i każe patrzeć w siebie.

Są rocznice — święta i rocznice — klątwy. Są dzwony przypomnień dla świata całego i drugie cichsze, których echo nie wychodzi poza kopce graniczne narodów.

Gdy Europa cała obchodzi święto czy klątwę szalonego Korsykanina, nam dzwon Zygmuntowski wydzwonił cztery wielkie obchody: stuletnią rocznicę narodzin Krasińskiego i Kraszewskiego, stuletnią rocznicę śmierci Kołłątaja, trzechsetlecie zgonu Skargi.

Filozof-poeta, mało znany jeszcze, obcy, mimo wielkiego swego, w królewską trójcę hetmanów poezyi wczarowanego nazwiska.

Najpłodniejszy beletrysta świata całego, ten, który stworzył wszystkie rodzaje powieści naszej, wszystkie typy; pierwszy, który poszedł z książką swoją do pałaców i chat, a teraz prawie zapomniany jest jednak źródłem, z którego czerpać będą pokolenia wstępne.

Uczony pisarz-publicysta, działacz polityczny, mąż stanu, właściwy twórca konstytucyi 3-go maja, szermierz postępu, jeden z przywódców t. zw. „stronnictwa patryotycznego", umysł, którego siła i sprawność przerosła sądy współczesnych, który dziś w perspektywie dopiero — staje pełen blasku.

Wreszcie — „złotousty", ten, który przez lat 24 otwierał i zamykał sejmy piorunami groźb i klątw, kaznodzieja, polityk, historyk, polemista, fanatyk zaciekły, prorok posępny a natchniony, w którego ustach zaczarowanych rozdźwięczało się słowo polskie tym dzwonem ze śpiżu, rozpyliło tą tęczą barw, jaką lśni, dzwoni, śpiewa, gromi, odurza, rwie i targa po dzień dzisiejszy..

Czterej dostojni...

Schodzimy do katakumb, podnosimy wieka sarkofagów, patrzymy w twarze zmarłych...

Mienią się płomyki kaganków naszych, rzucając światła, które nie drgały przed pół i ćwierć wiekiem.

Badania uczonych współczesnych skreślą niejeden wiersz dawnych epitafiów, przekształcą, zmienią minione kategorye.

Na wawrzyny Skargi padnie żałobna krepa walki z różnowiercami, których dziś historya przestała uważać za wrogów narodu, którym pokładła na głowy berety uczonych i z kaduceuszem dobrych, silnych prawd przeprowadziła przez wieki zaciekłych religijnych bojów.

Przebaczymy Kołłątajowi bolesną „zdradę na szczytach intellektu" (Żeromski) za tęgi, zdrowy czyn życia całego, za myśl trzeźwą i czerstwe, mądre oparcie bytu Polski na podwalinach równouprawnienia ludu naszego.

Skłoniwszy czoło przed poetą, którego nauczą nas rozumieć nowi jego tłómacze i przed głośnym powieściopisarzem, który czeka na zsumowanie olbrzymich zasług swoich.

Wielkie nazwiska są jak słupy graniczne: myśl staje przy nich, cofa się wstecz, patrzy w dal i w zwyż, szuka, goni, zestawia z teraźniejszością przeszłość, daje wskaźniki przyszłości, zrzuca szkła doktrynerstwa i podaje prawdę w kryształowych czarach dojrzałych, jasnych zrozumień.

Wielkie rocznice są, jak dzwon zmartwychwstania.

Dosłyszy go katowane dziecko Wrześni, któremu nie wolno obchodzić święta zmarłych swoich; dosłyszą ci wszyscy, do których najbardziej podziemnem korytem przekrada się głos polski.

Zygmuntowski dzwon spiżowy...

Niech dzwoni. Wstaną serca i rozdźwięczą się w rytm hejnałów.

C. Walewska.

WIKTOR GOMULICKI

CIEŃ.

(HISTORJA DUSZY DZIECIĘCEJ).

2)

IV.

Mówiąc do ciebie i o tobie, sięgnąć muszę do początku twego.

Skąd i po co wziąłeś się na ziemi?

Obok herbarzy rodów, istnieć powinny herbarze dusz. Genealogia każdego bez wyjątku ducha jakże jest ważna, ucząca. Co niósł ze sobą, zlatując na ziemię? W hierarchii duchów, jakie miejsce miał wpierw? Jakie mu teraz przypadło?

Jest duchów arystokracya i jest duchów motłoch. Dla pierwszej pisać by trzeba „Panoszę", dla drugiego *Liber chamorum.* Tragedyą jest, gdy duch-arystokrata, duch-książe, duch-król żyć muszą w ciele społecznych paryasów; farsą, gdy duch-cham dostanie się na wyżyny społeczne. Heraldyków swych duchy nie mają. Nobilitować się muszą same, krwią i potem prawa swe wywalczać. Większość walki się wyrzeka; dobrą szlachtą czując się i znając, o dyplomy nie dba.. Czasem jednak i z pomiędzy niej który po dokument sięgnie—gdy walkę o ideę podejmując, chce odrazu posłuch zdobyć.

Ty niezawodnie do duchów wyższych, do starego, wielostronnie wyrobionego szczepu należałeś. Szlachetność stwierdzała twe szlachectwo. Była w tobie dojrzałość tak już wysoka i ponad wszelką pozę hieratyczną wyniesiona, że stała się zupełną prostotą. I była lotność napół ptaszęca, napół cherubinowa, sprawiająca, żeś ziemię tylko muskał stopą, nigdy na niej twardo nie stawając. I była czułość mimozowa, czułość niezakrytej powieką źrenicy, uniemożliwiająca ci we wszelkich warunkach życia, szczęście i spokój.

Zakryte są dla mnie drogi, po których przed swą materyalizacyą krążyłeś. I tej nie znam, co cię na ziemię przywiodła. Tajną pozostała też dla mnie droga, po której z ziemi odszedłeś. Jedno mi pewne:żeś był przybyszem z kraju harmonii, i żeś do tego kraju z wielkiem rozradowaniem powrócił.

Po wiele razy, odpowiedzi nie znajdując, pytaniem sobie zadawał:

— Dlaczego cud twego wcielenia spełnił się tu, nie gdzieindziej? wśród okoliczności tychnie innych?

Wiesz? Zdawało mi się niekiedy, że gdyby nie było tej rzeki, od wszystkich błękitniejszej, chmurkom i słońcu najchętniej za zwierciadło służącej; i tego starego, pustego zamku, z oknami „na przestrzał", w których o północy migały procesye świateł, przez nikogo nie trzymanych; i tego ogrodu, buchającego na wiosnę aromatem kwiatów, jak dymiące dniem i nocą kadzielnice w pałacu Heliogabala; i tego czarno-krwawego ostrosłupa starej wieży ratuszowej, nad którym srebrnym obłoczkiem unosiły się gołębie—nie byłoby też tam pewnie: ciebie—i mnie. O! najpewniejszy jestem, że nie wybrałbyś dla siebie miejsca w murowanym grobie wielkiego, prawidłowo zabudowanego miasta; ani wśród płaszczyzn jałowych, od których odbite oko zatapia się w samem sobie i sięga do tych przepaści duszy, w których zawsze leży mrok i tają się straszydła. Nie rzuca olcha cieniów błękitnych na żółty piasek, a pień sosny o zachodzie, ogniście, jak kolumna z porfiru czerwony, nie wystrzela ponad mokradła. Dzwonki konwaliowe tylko na skraju lasów podzwaniają; kalina tylko nad strumieniami płomieniste korale rozwiesza; dziewicze berła dziewanny tylko na pustce piasczystej kołyszą się, kitom gwardzistów Napoleońskim podobne. Jeśli prawo wyboru służy najlichszej roślince, która swe uskrzydlone nasionka śle w przestrzeń, niby osadników na poszukiwanie krain urodzajnych—jakżeby tego przywileju mógł być pozbawiony duch, zaródź nieśmiertelności w sobie noszący?...

Mniemam, że duchy zastępami nieprzeliczonymi unoszą się pomiędzy niebem a światem. Unoszą się to wyżej, to niżej, miejsc szukając, gdzie wcielić by się mogły. Jakieś prawo nieznane nam, zmusza je do tego. Toż prawo, każe im przywdziewać kształty, to człowieka, to rośliny, to zwierzęcia, to minerału. Kto wie, czy niektórym nie wystarcza wcielić się w chmurę, w zorzę, w ognik błędny, w strumień po kamieniach dzwoniący, w zwisającą nad wodospadem tęczę?...

Nie badajmy dla czego tak czynią. Myśl nasza zbłąkałaby się w tych mrokach. To pewne, że na którąkolwiek z planet zstąpią, zawsze coś z siebie tracą. Albowiem pomiędzy najpiękniejszym i najlotniejszym z kształtów a duchem leży—nieskończoność.

Wcielanie się ducha jestże karą? Gdy razem z ciałem, na łup cierpieniom i śmierci rzuconem i duch cierpi, gotowiśmy w karę uwierzyć. Za cóż ona? Znów tajemnica! znów mroki niezgłębione...

Twierdzić, że duch, stawający się ciałem, to wytwór miejsca i czasu, jest niedorzecznością, —niekiedy nawet ironią i szyderstwem.

Dank Napoleona.

— Voilà, ça-y-est! — zawołał de Montholon i wywiązała się rozmowa, do której niebawem wmieszała się pani Bertrand.

Wreszcie kapitan począł się żegnać. Gdy ujął dłoń Bertranda, marszałek oblał sympatyczną, otwartą twarz oficera poważnem spojrzeniem i wyrzekł słowa najwyższej pochwały, na jakie mógł się zdobyć:

— Dobrze i wiernie służyłeś pan naszemu cesarzowi...

Piątkowski skłonił głowę, przyjmując uznanie z pokorą, pełną godności i tak stał przez chwilę w pięknem milczeniu.

— *Mon général* — zwrócił się do generała Gourgaud. — Pragnę gorąco złożyć ostatni pokłon cesarzowi, ujrzeć jego oblicze. Proszę mu to oznajmić.

Gourgaud udał się niezwłocznie do pawilonu jeńca i niebawem wpuszczono go do zacienionego markizą gabinetu Napoleona.

Eks-cesarz wklęsły głęboko w fotel starożytny, z nogami, niby tęgiemi kłodami wyciągniętemi niedbale, z brzuszkiem wypiętym, robił wrażenie roztyłej masy ciała spoczywającej w omdleniu, porzuconej mimochodem — ręką losu. Głowa uwięzła między szerokiemi ramionami, przyrosła do wydętej piersi a oblicze mięsiste z obwisłymi zmarszczkami pod brodą o cerze smagłej, żółciowej czerniało w posępnej chmurze, odpychało wyrazem cezara występnego albo raczej jakiego opasłego mnicha hiszpańskiego, rozmyślającego nad bezmiarem nieprawości ludzkich i grozą mąk piekielnych.

Na rysach tych w miedzi wykutych skamieniał głuchy, piorunem gryzący gniew, pod którego maską kłębiły się, syczały w bogatej fosforescencyi mózgowej, w fermencie nerwów, stargane fale myśli rozbieżnych, niesfornych i waliły o bezlitośne ściany więzienia. Rozbite jak ptaków słabych stado myśli Napoleona raz przysiadały na martwych konarach wspomnień wielkich, raz czepiały się migawkowo osób bliskich, raz włóczyły się jak hyeny po piaskach błahostek dnia bieżącego — w żebraczej a beznadziejnej gonitwie za czemś, co napięłoby znowu struny ducha na heroiczną nutę, wykrzesało snop iskier woli cesarskiej, zagrało bohaterski hymn mocy nadludzkiej i rozniosło go po świecie tryumfu echem...

Z mapą zapomnianą na kolanach spoczywał tak, wydany na pastwę — bezczynności. Na odgłos kroków wyjrzały z głębi oczodołów ponure źrenice w stronę wejścia.

— Cóż tam, Gourgaud?

— Kapitan Piątkowski pożegna wyspę za chwilę. Pragnie przeto raz jeszcze, po raz ostatni pokłonić się Jego Cesarskiej Mości.

— Nie chcę widzieć nikogo! Nikogo! — rzucił opryskliwie Napoleon i począł dźwigać się na nogi.

A Gourgaud ozwał się półgłosem:

— Dowiedzieliśmy się, że gubernator wydala kapitana głównie dla tego, iż skrytykował jego postępowanie...

Wzmianką tą Gourgaud chciał obudzić współczucie cesarza dla banity, lecz Napoleon za całą odpowiedź zachichotał jeno z cicha, dając do zrozumienia, że nie warto już mówić o jego oprawcy.

Po chwili milczenia generał odważył się jeszcze spytać:

— Cóż mam powiedzieć adjutantowi?

— Powiedziałem: nie chcę widzieć nikogo! — huknął eks-cesarz, ciskając nań sine spojrzenie, lecz po pauzie, ochłonąwszy szybko, bąknął:

— Chyba gdyby się pojawił admirał Malidm, to można go wpuścić.

Wkrótce potem przed otwartemi na oścież oknami pawilonu ukazał się ułan polski. Szedł w stronę przystani ciężkim krokiem, niby lgnąc w moczarach żałości. Nie chciał dać wiary, by humory uwięzionego cesarza posuwały się do lodowatej, wzgardliwej obojętności, by Napoleon mógł odwrócić się od wiernego sługi i towarzysza niedoli, odtrącić go na pożegnanie, niby wiechę na śmietnik.

Czyliż niczem nie był w jego oczach ten żołnierz, co wywodził go w dzień pamiętny z wyspy Elby, przeżył z nim nie jeden moment wielki w szalonej burzy, obalającej dąb wszechpotężny? Czyż malowanym pajacem był ten ułan, co stokrotnie stawiał zań życie na stawkę, stokrotnie zań w sercu umierał?...

Kapitan zwalniał kroku coraz więcej, spozierając wyczekująco, błagalnie w okna, gdzie raz wraz przesuwała się nieco skulona postać jeńca.

Z rękoma w pantalionach zielonkawego stroju myśliwskiego eks-cesarz niby zwierz w klatce wymierzał pokój leniwymi krokami — zasypany przez nudę obłokiem bezwładu, przegryziony przez świadomość bezsilności i poczucie żelaznej przemocy.

W przygasłych promieniach źrenic zamajaczył nagle przed nim ułan, zajaśniał świetnością przeszłości i z głębin jej podniosły się, oplątały go tęcze wspomnień... Saragossa... Berezyna... Lipsk... Odbłysk lanc, tętent koni, zawierucha, szczęk broni i okrzyki wzbijające się pod niebo: vive l'empereur!... Coś zatargało potężnie strunami duszy, krew zagrała żywiej, fragmenty obrazów, rozstrzępione zarysy scen przeleciały z chyżością błyskawic przez umysł, rzucając barw i świateł rozdrganych tysiące na szarotę kanwy żywota — aż raptem zapadło się wszystko w chaos i lęk subtelny rozlał się po harfie duszy.

Lęk przed wspomnieniami — przed stosem zwiędłych, rdzawych, krwawych liści, opadłych z przeogromnego drzewa życia, jakie okrutna ananke zostawiła jako jedyny karm mężowi woli, czynu, walki. Wspomnień wspaniałych tkaniny roztaczały pod obrazem teraźniejszości tło złote, na którego świetnym gobelinie nieszczęście stawało się dopiero nieszczęściem, upokorzenie upokorzeniem, upadek upadkiem.

Więc jeniec cisnął precz garść liści suchych i — odwrócił się od polskiego ułana.

Z przystani rozległ się świst piszczałki okrętowej, wzywając podróżnych na pokład.

Ale ułan stanął. Nie mógł bowiem jeszcze odplątać włókien duszy od osi swego istnienia, oderwać dziecięcego serca od fascynującej, świetlanej postaci, opuścić boga swego w cierniach korony męczeńskiej. Jakby w samem rdzeniu miłości i ubóstwienia żołnierskiego skroplił się cały w łzę jednego gorącego pragnienia...

Uwiązł przełzawionemi oczyma na murach więziennego pawilonu, szukał głodnem spojrzeniem najdroższej figury, splótł dłonie, jakby przed świętością i modlił się...

— Cesarzu! — łkało wezbrane serce żołnierskie. — Cesarzu mój! Panie! Jedno spojrzenie łaskawe, jeden gest ręki dla tego, co na jej skinienie szedł tylokrotnie w ogień morderczy, co za szczęście uważałby najwyższe tu przy tobie cierpieć do końca, przy tobie umierać...

Cesarzu! Przezemnie pozdrawia Cię tysiące takich, jak ja, oddanych żołnierzy, tysiące serc leci w uniesieniu tęsknem do stóp Twych, Panie! Pada, korzy się w prochu przed majestatem cierpienia Twego i — błaga znaku Twej łaski, czeka Twego uznania...

Łza ołowiana stoczyła się na wąs ułana, gdyż nic z zaklęć nie padło na pierś Napoleona, nie otworzyło przywalonej głazem głębi.

W cieniach pokoju majaczyła sylweta. Wprawdzie raz jeden i drugi jeniec rzucił wzrokiem na posąg ułana, złamany w linie żałości bezmiernej, lecz — odwrócił się obojętnie.

Cóż za pożytek z tego żołnierza? Na cóż ułan wodzowi bez buławy?...

A ułan stał jeszcze skamieniały w posąg, owiany wieczystym, żałosnym szumem oceanu. Jeszcze nie wierzył, jeszcze czekał, jeszcze błagał.

Cesarzu! Nie dla mnie... Dla tej ułańskiej czapki, dla tej szabli polskiej, co dźwiękiem szlachetnej stali brzmiała bohatersko w opresyach, świeciła przy Twym boku przez zmiennych losów huragany... Cesarzu! W imię narodu polskiego błagam o jeden, o jeden chociaż pokłon wdzięcznego dłużnika, o jedno ręki skinienie, jedno spojrzenie... dla tej czapki polskiej..

Żołnierz rozprężył się, uniósł głowę, wzmocniony na duchu ojczyzny wspomnieniem, i jeszcze spozierał w okna, ufny, iż pod Polski wezwaniem rozkruszą się, rozpadną lody obojętności. I wreszcie, wyciągając żebracze ramiona, jęknął na głos harfy rozłkanej muzyką:

— Cesarzu! Ukłon dla czapki Poniatowskiego!...

I wtem zdało mu się, że nareszcie z mgieł komnaty wynurza się wódz ubóstwiany, zbliża do okna....

Wezbrała fala uczuć żołnierskich, serce zabiło młotem, by runąć przed bożyszczem w cudownem omdleniu.

Lecz nie!... Cień znikł, przepadł.

Ułan pogrzebał twarz w dłoniach.

Takie pożegnanie! Taki... dank!

Maciej Wierzbiński.

□□□□□□□□□□

TADEUSZ RONCZYŃSKI.

ZAWROTNE DROGI.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

XV.

Obłędne dni uniesień — obłędne dni ekstazy.

Wypełgające ze wszystkich kątów duszy marzenia, pragnienia, zabijane dawniej, a dziś otwierające szeroko oczy na nowe wrażenia, na nowe uciechy i rozkosze jak tuman nieprzebity ogarniały z każdym dniem coraz bardziej umysł, serce i wolę Wandy.

Walki ze wzruszeniami wspomnień malały, i rozpływały się w nicość pod uderzeniami gwałtownych podmuchów wichru, który szedł na nią przemożny, łowiący z dna jej własnej psyche usilującej w konwulsyjnej egzaltacyi zrealizować sen o szczęściu i postulaty rozdrażnionej ambicyi, nawoływania tęsknoty, śpiewającej o sławie, tryumfach i o wyższem, olimpijskiem życiu...

I cóż mógł znaczyć krzyk przeszłości, co mogły znaczyć widma, zachodzące do jej pokoju o zmroku i nocą, napadające ją znienacka, widma o twarzach przesmutnych niegdyś jej najbliższych?

Czyż ze zbolałą duszą, z poszarpanemi nerwami, z pustemi dłońmi miała wrócić do dzieci? do męża? do sąsiadów? wówczas, kiedy jeszcze ani jeden atom z mirażów jej fantazyi nie stał się dotykalnym faktem? czyż miała wrócić, aby słyszeć śmiechy i szydercze uwagi? aby ze wstydu uciekać od ludzi i białe pokoje dworu zamieniać na wędrówki samotne, potępieńcze, po wertepach pól i lasów rodzinnych?

Na myśl o takim powrocie płonęły jej oczy ogniem zaciętości. Na purpurowych wargach wykwitała wzgarda dla swej własnej małości i nędzy.

A więc aż do kresu.., do tego nieznanego kresu, kędy sny stają się zwycięzką prawdą — albo — nieodwołalną, beznadziejną klęską.

Tej prawdzie zajrzeć w oczy — tej jednej prawdzie zajrzeć w oczy, choćby za cenę złamanego życia... to stało się gorączkowym imperatywem całej jej istoty.

Z takiej drogi nie ma odwrotu — trzeba albo zwyciężyć albo paść między gruzy jak skorupy rozbitej terrakoty.

. . . . . .

Wańkowski zerwał się do pracy.

Po kilku miesiącach stępienia twórczego płomienie entuzyazmu i natchnienia buchnęły w tajnych kopalniach jego talentu i wołały o czyn — o czyn nieśmiertelny!

Zniechęcony, melancholijny, ugodowy nastrój jego duszy prysł—i jaźń jego jak czarodziejski kameleon zagrała barwami ognistej fantazyi, porywającego zapału i uzbroiła się w przemoc ostrowidztwa.

Od chwili, kiedy stanął u warsztatu pracy i rozgorzałemi oczami utonął w bryłach gliny, w którą jął zaklinać kształty swej gigantycznej fantazyi — wszystkie wartości psychiczne, czy realne, czy uczuciowe zmieniły dla niego swoje wymiary, swoje natężenie i wagę.

Ekstaza pracy ogarnęła go całkowicie.

Przekształcał się w tytana woli i potęgi twórczej.

Wanda porwana w wir jego wynurzeń i twórczej gorączki wchłaniała w siebie wszystkie promienie mocy i zapału, które biły od niego i grzała w ich cieple swoje poziębłe marzenia.. Miała wrażenie, że w tej jego objawiającej się sile skąpie się jej dusza jak w letejskiej wodzie i znajdzie się na tamtym brzegu podobna jemu, odrodzona, promienna.

Pozowała mu godzinami całemi do grupy, nad którą już od roku pracował. Nieraz chłód przejmował ją bólem—nieraz mdlały jej ramiona, odpychające przemoc zdobywczą mężczyzny, który z nią miał walczyć— nieraz muskuły jej twarzy, wypowiadającej uniesienie miłosne, maskowane odpornemi ruchami, drgały w kurczach przemęczenia — a jednak leżała, cicha jak płaczące kwiaty róży pod zachód słońca, piękna jak odblask antycznych, czarodziejskich rzeźb— przejęta tą jedną myślą, że jej poświęcenie się da życie nowemu arcydziełu, przed którem kiedyś stawać będą rzesze ludzkie zdumione przejawem nieśmiertelnego piękna i myśli twórczej, spadającej jak nurek na dno oceaniczne zagadki bytu...

Słowa, które od czasu do czasu wybiegały z ust Wańkowskiego, pełne imperatywnej siły, płonące jak ogniste odpryski lejącej się z pieców roztopionej rudy żelaznej — oszałamiały ją i podniecały jak narkotyk wschodu.

— To już nie będzie ta grupa — spowiadał się głośno rzeźbiarz, narzucając potężne zwały mokrej gliny na pokład, aby w nich modelować kształty wymarzonej figury — to nie będzie grupa, którą widziałaś wówczas, kiedyś zawitała do mnie po raz drugi w Warszawie! o nie! tamto był pomysł jeszcze niewykształcony! tam były jeszcze ślady ostre pospolitości, tam poczęta myśl w mojej duszy mocowała się ze zbyt realną formą! o ja nie chcę tego! ja nie chcę zakląć w moją grupę zwykłego banalnego uczucia nie! za nic na świecie!

— Wiem Cezary! wiem! — rzuciła z gardła krótki odzew Wanda, porwana intonacyą jego głosu i gorączkowemi gestami.

— Ja chcę zakląć w moją grupę—ciągnął dalej Wańkowski — coś więcej! ja chcę wypowiedzieć przedewszystkiem tę prawdę, że dwoje płonących miłością istot, ulega złudzie, iż to oni właśnie w momencie swej miłości tworzą królestwo świata, tworzą cud nieśmiertelny — a tymczasem oni są tylko bańką jaśniejącą przez sekundę krótką na powierzchni oceanu, który nazywa się bytem! — bańka pryśnie, a na oceanie zagrają tęczowemi kolorami miljony innych baniek — aby dalej pękać jedna po drugiej — i dlatego nad moją grupą, objętą ekstatyczną walką miłosną rozepnę gigantyczne skrzydła ptaka — tajemnicy — który dwa ślepia olbrzymie utkwi w moich szalejących ludziach, czyhając na swe ofiary — dwie gwiazdy muszą się spalić i stopić aby, utworzyć nową gwiazdę — i aby się nie przerwał ciąg dalszy epopei wszechświata.

— O tak, o tak — powtarzała Wanda bezwiednie, olśniona jego pomysłem.

A rzeźbiarz zatrzymał się na chwilę w pracy i rzekł patrząc na nią rozkochanemi oczami:

— Tobie zawdzięczam ten skok naprzód... tyś potrąciła moją myśl — przez ciebie cierpieć musiałem i w tem cierpieniu dojrzała moja wizya...

Wanda przymknęła powieki, uderzona falami ogni, które szły na nią z jego źrenic.

Szkarłat krwi wykwitł rumieńcami na jej twarzy.

. . . . . .

D. c. n.

□□□□□□□□□□

Salon.

I.

Od dłuższego już czasu nasze Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych urządza na schyłku starego i początku nowego roku zbiorową wystawę, mającą na celu zaznajomienie szerszego ogółu z rezultatem dorobku artystycznego sztuki polskiej. Wystawy te nosiły przez lat kilka nazwę „dorocznych" w ubiegłym roku z powodu pamiątkowej daty powstania instytucyi Zachęty urządzono wystawę „Jubileuszową", a w roku bieżącym po raz pierwszy przyjęto tytuł „Salonu", który ma pozostać oficyalną nazwą na przyszłość. Myśl bardzo dobra w założeniu, stworzenie bowiem „Salonu polskiego", takiego, jaki posiada sztuka wybitniejszych krajów na zachodzie, jest rzeczą pożądaną i pożyteczną. Należałoby tylko, aby ów „Salon" naprawdę grupował najlepsze dzieła artystów polskich, w ciągu ubiegłego roku powstałe, coby mu zapewniło istotnie wysoki poziom.

Na razie o teraźniejszym Salonie powiedzieć tego nie można, gdyż w ciągu roku widzieliśmy na wystawach Zachęty prace o wiele ciekawsze od obecnie zebranych; teraźniejsza wystawa jest przyzwoita, lecz mało interesująca; posiada ona dużo prac wartościowych, ale ani jednego dzieła porywającego, któreby stanowiło pewien punkt wytyczny w twórczości jego autora. Niemal wszystkich obecnych wystawiających artystów widzieliśmy rzeczy lepsze, pełniej charakteryzujące ich talent, noszące więcej cech indywidualnych. Tak zwane „firmy" przysłały prace średnie, przeciętne dla ich twórczości, ale bynajmniej nie najwybitniejsze, przypominają one widzowi nazwiska zasłużone, ale go nie porywają bezpośredniością natchnienia.

Spora zresztą ilość artystów cenionych i zasłużonych świeci swą nieobecnością na obecnej wystawie. Co do obrazów młodszego pokolenia malarzy, daje się zauważyć pewna jednostronność kierunku, wypływająca być może z upodobań „jury", które tylko w pewien sposób malowane rzeczy przyjmuje. Jednostronność ta bywa chwilami męcząca, a szczególniej nużąco zaznacza się ona w nieskończenie długim szeregu „martwych natur" i kwiatów, zawsze jednakowo obwiedzionych niebieskim konturkiem, jaskrawych i płaskich, po raz nie wiem już który odtwarzających te same dzbanuszki gliniane, te same kwiatki i te same jabłuszka, co mogło być, zajmujące widziane po raz pierwszy, oglądane jednak w niezliczonych egzemplarzach nuży w wysokim stopniu.

Dziwny brak koncepcyi i pomysłowości cechuje naszych „najmłodszych", o ile sądzić o nich mamy z tegorocznego „Salonu". Spotykamy tu cały szereg nazwisk po raz pierwszy, a zatem należących do wstępujących w szranki sztuki malarzy, a bodajże niema wśród nich jednostek, któreby wykazywały w swych pracach jakiś indywidualny, twórczy' pierwiastek. Dziwna też pustka duchowa wieje od tych płócien i bynajmniej nie zapowiada przypływu jakichś świeżych, ożywczych soków do organizmu naszej sztuki.

„Najmłodsi" są stanowczo nieświetni tym razem, zwróćmy się zatem do „najstarszych", aby kolejno rozejrzeć się bliżej trochę w nadesłanych przez nich pracach.

Zamiłowanie do prac rodzajowych, batalistycznych lub alegorycznych cechuje właśnie owo starsze pokolenie artystów, gdy, przeciwnie, młodzi stanowczo zdają się unikać tych tematów.

Na obecnej wystawie w zakresie malarstwa kompozycyjnego prym trzyma prof. Jacka Malczewskiego „Grabarz i sztuka". W głębokiej, bolesnej zadumie pogrążony starzec opuścił głowę na splecione ręce, odpoczywające po tragicznej pracy; obok niego młodę dziewczę przygląda mu się z uśmiechem, pełnym radości z życia i ufności we własne siły. Kontrast wyraźny, a silny; zmagają się tu dwie potęgi— życie i śmierć, boleść i radość, starość i młodość — różnie można sobie wytłómaczyć alegoryę Malczewskiego, ale jedno nie ulega żadnej wątpliwości, to bezsprzeczna wysoka wartość artystyczna tego obrazu. Ta postać grabarza w szeregu niepospolitych dzieł Malczewskiego zająć musi miejsce niepowszednie, odznacza się ona bowiem niezrównaną głębią wyrazu, świetną charakterystyką i ogromną plastyką. Dwa autoportrety tegoż artysty, choć malowane jak zwykle po mistrzowsku, wobec ciągłego powtarzania tegoż tematu, mniejsze robią wrażenie; ciekawiej przedstawia się szkicowo narzucony na tło pochmurnego pejzażu „Święty Jan".

Sędziwy prof. Brandt nadesłał „Tatarów, jadących z końmi na targ", obraz typowy dla twórczości tego artysty, któremu wiek nie przeszkadza do żywota pełnej rozmachu działalności, z której przejawami jednak na naszych wystawach spotykamy się obecnie dosyć rzadko.

Drugi i nie częsty gość naszego Pałacu sztuki, Jan Rosen dał dwa większe płótna, przedstawiające generałów Dąbrowskiego i Dwernickiego w otoczeniu ich sztabu; obrazy te posiadają również wszystkie charakterystyczne cechy talentu ich twórcy — bardzo wykończoną technikę, umiejętny układ, oraz dociągnięty we wszystkich szczegółach rysunek.

Pewne pokrewieństwo z Rosenem pod względem technicznym cechuje prace Stefana Bakałowicza, który tematy czerpie z dawnego rzymskiego świata, jak to widzimy w jego pracy „Przy fontannie", ogromnie wykończonej w szczegółach i czystej w konturach.

Zupełne za to przeciwieństwo techniczne z Rosenem w traktowaniu tematów batalistycznych daje Stanisław Batowski w swym obrazie „Samo-Sierra", pełnym szalonego rozmachu, rozpędu, ruchu, nad którym unosić się zdaje żar zaciekłej walki na śmierć i życie. Całość niepowszednia, porywająca swą brawurą. Dużo ruchu i charakteru ma też „Powrót z kościoła" Józefa Ryszkiewicza, obok trochę przejaskrawionego kolorytu, zharmonizowany za to i nastrojowy jest jego drugi obraz „Z pola bitwy".

Dziwnie spokojnie i grzecznie idą „W jasyr" dwie branki na obrazie Antoniego Piotrowskiego; czyściutko ubrane, układne figury stanowią silny rozdźwięk z ponurością i grozą momentu, jaki mają upostaciować, to też robią one wrażenie nieszczere i sztuczne.

Duży nastrój ma „Koncert" Edwarda Okunia, przedstawiający stylizowaną postać kobiecą w kwiecistej szacie, w cieniu drzew, grającą na złotostrunnej harfie. Całość jakaś wizyjno-bajkowa, traktowana płasko, nierealnie.

Mało też z realistycznym światem mają wspólnego postacie Mieczysława Jakimowicza, który w obecnym „Fragmencie z Anhellego" dał twarze o dziwnem uduchowieniu, w zaświaty patrzące.

Wiele poezyi i wdzięku posiadają utwory malarskie Wlastimila Hofmana, który tworzy typ Madonny w otoczeniu swojskiem, na tle naszego pejzażu, przeniknięty jakąś rzewną prostotą.

Na obecnej wystawie mamy parę charakterystycznych prac tego artysty, które jednak nie mogą być zaliczone do najlepszych jego utworów. Bardzo dodatnio przedstawiają się dwie scenki rodzajowe Ignacego Pieńkowskiego: „Prządki" i „Śniadanie", szczególniej to ostatnie odznacza się siłą kolorytu i swobodą układu, oraz śmiałem traktowaniem technicznem.

Lubujący się w zestawieniu barw jaskrawych Józef Krasnowolski dał tym razem spokojniejsze w harmonii prace, oparte jak zwykle u tego artysty na tematach ludowych, pełne życia, i dobrze oświetlone, z których najlepszym jest obraz, zatytułowany „W hamaku".

Na zakończenie tego krótkiego przeglądu wybitniejszych prac „Salonu" o podkładzie kompozycyjnym, należy podkreślić przejawy szczerego talentu p. Janiny Bobińskiej-Brzezińskiej, jedynej bodaj przedstawicielki „najmłodszych", posiadającej indywidualną nutę w swej twórczości. Obie jej prace „Zwiastowanie" i „Wieczór", świadczą jaknajdodatniej o kulturze i kierunku artystki. Lekko stylizowane, dyskretne i harmonijne w kolorze, posiadają w układzie całości duży sentyment i urok poetycki i zapowiadają piękną przyszłość.

W bardzo licznie obesłanych działach malarstwa portretowego i pejzażowego, jak również o rzeźbie i architekturze w tegorocznym Salonie rozpatrzymy się w następnem sprawozdaniu.

Z. Skoroboyata-Stankiewicz.

□□□□□□□□□□

Sufrażystki i powszechne głosowanie.

Niezmiernie bezwątpienia ciężką rzeczą jest walczyć w pracy ideowej z ciągłemi przeszkodami, zmagać się z trudnościami nie widząc pomyślnego końca, ale o ileż trudniej znieść cios wtedy, gdy praca zdaje się być uwieńczona powodzeniem, gdy nadchodzi rzecz —może błahej moralnej wartości, ale tak wielka dla sądów ludzkich jak tryumf i gdy w tej prawie chwili tryumfu wypracowane dzieło zostaje zniszczone.

Taką chwilę przeżywają teraz sufrażystki angielskie.

Ćwierć wieku pracy, szalonych nieraz ofiar, kosztów, zabiegów — przeżyły bojowniczki Womens suffrage'u. Wyszydzane, kamienowane i... kamienujące same, zrobiły jednak olbrzymi wyłom w swem społeczeństwie. Opinię, tę konserwatywną opinię angielską „przyzwyczaiły", jak się same wyrażają, do idei równouprawnienia. Pozyskały „średnie" sfery i arystokracyę, pozyskały commonerów i do pewnego przynajmniej stopnia robotników, pozyskały nawet... Asquitha!

Conciliation Bill, mający dać znacznej liczbie kobiet prawa wyborcze na równi z mężczyznami wniesiony miał być na tegorocznej sesyi po raz trzeci i w razie przyjęcia w trzeciem czytaniu uzyskałby moc prawną, gdyż sankcya lordów byłaby, bądź co bądź, tylko formalnością.

Zdawało się, że po latach nieludzkich trudów i walk przychodzi, mniejsza już tryumf czy radość, lecz spełnienie rzeczy wypracowanej.

I naraz wszystko runęło.

Mr. Asquith, to jest rząd, ogłosił, że wniesie do parlamentu projekt prawa powszechnego głosowania.

Ale naturalnie powszechnego głosowania czteroprzymiotnikowego, bez udziału kobiet.

Rozumie się samo przez się, że o ile projekt ten pójdzie pod obrady izby gmin, nie będzie celu i sensu dla Conciliation bill'u. Mr. Asquith dał tylko „wskazówkę", że o ile parlament zechce — będzie mógł rozszerzyć prawo wyborcze na kobiety.

Wskazówka całkiem zbyteczna. Wie o tym sposobie każdy, a rzecz jest w tem, że parlament tego nie zrobi, bo jeśli potrzeba było tylu lat pracy dla przeprowadzenia bardzo ograniczonego prawa w formie Conciliation bill'u, to śmiesznem byłoby spodziewać się p o w s z e c h n e g o głosowania dla kobiet, tak odrazu przez parlament wniesionego; dalej i izba lordów, o ile dałaby łatwo sankcyę bardziej zachowawczemu projektowi, o tyle oparłaby się gwałtownie skrajnie postępowemu.

A nadto i przedewszystkiem nie da kobietom prawa powszechnego głosowania dzisiejszy ustrój rządowy, stanowiący przecież jedno z parlamentem — i dlatego naiwnie wyglądają morały, dawane sufrażystkom przez prasę — po zamachu na Lloyd George'a. Jak mogła partya Womens suffrage'u uciekać się do gwałtu! wołają oburzeni moralizatorzy, rząd nie wniósł wprawdzie projektu praw dla kobiet, ale zostawił do tego wolne pole dla parlamentu i parlament b y ł b y to uczynił, chodziło tylko o czas i zwłokę formalną, etc. Jest to twierdzenie polityków nie mających, a raczej nie chcących mieć o istocie rzeczy pojęcia. Zamach na Lloyd George'a jest bądź co bądź dzikim wybrykiem, godnym potępienia, ale z drugiej strony jest rzeczą bardzo wiadomą, że lord kanclerz należał do tych, którzy przyśpieszyli wniesienie projektu prawa o głosowaniu powszechnem.

Powtórzyć trzeba — przyśpieszyli, gdyż projekt ten był przewidziany, rządowi bowiem w kampanii politycznej niezbędenem jest silne poparcie Labour party, która dąży do urzeczywistnienia prawa, będącego jedną z jej głównych platform.

I tu właśnie leży tragedya sufrażystek, że tryumf ich łamie idea, którą zasadniczo miały i one od wielu lat w swym programie i przeciwko której nie mogą i nie chcą występować.

I wiele z pomiędzy nich zapytuje, czy nie lepiej było odrazu stanąć na tej platformie i iść łącznie z ruchem robotniczym.

Czy zyskałyby na tem ich sprawy i co zyskałyby—na to w obecnej chwili krytycznej niepodobna dać trzeźwej i trafnej odpowiedzi. Wiemy tylko, że fakty obecnie ułożyły by się w następujący sposób: Partya pracy głosi urbi et orbi, że nie dopuści, aby zwycięstwo jej idei stawać miało na przeszkodzie prawom kobiecym; sufrażystki (National Union of Women's suffrage societes) zwołują szereg wieców, zebrań i narad, militantki (Women's social and political union suffragettes) wybijają okna Asquithowi, a... oko Lloyd George'owi. Pozatem decyzya stanowcza ani na prawem ani na lewem skrzydle feministek angielskich dotąd nie zapadła — sufrażystki są skłonne, o ile nie dałoby się przeprowadzić prawa powszechnego głosowania dla kobiet, nalegać w dalszym ciągu na wprowadzenie bądź co bądź praw Conciliation bill'u, przyznać trzeba jednak, że dobrowolna zgoda na takie ograniczenie kobiet, udzielenie im resztki prawa, wobec szerokiego, pełnego prawa wyborczego dla mężczyzn, byłoby bardzo upokarzające. A jednak zdaje się, że do tego dojdzie.

Sufrażystki mniej skłonne do ustępstw, postawiły rządowi następujące ultimatum:

1) Cofnięcie obecnego projektu prawa powszechnego głosowania i wprowadzenie bill'u o głosowaniu pięcioprzymiotnikowem.

2)Przedłożenie tego projektu na sesyę tegoroczną.

3) Zapewnienie nowemu projektowi tej samej „opieki" i starań, — co poprzedniemu o wyłącznie męskiem prawie głosowania.

Z racyi tego też ultimatum, a raczej jego doręczenia Mr. Asquith'owi, wybito moc szyb, a policya aresztowała około 200 sufrażystek. W kilka dni później zaszedł znany wypadek z lordem kanclerzem.

A wszystko to razem jest smutne i nie tylko ekscesy militantek, lecz dziwne krótkowidztwo i egoizm „mężów stanu".

A z drugiej strony krótkowidztwo sufrażystek, które uwierzyły w dobrą wolę Lloyd George'a i samego Asquith'a, a nie obliczyły się z potężnym prądem przekonaniowym własnego społeczeństwa, dążącego do gólnego rozszerzenia praw wyborczych.

N. J.

□□□□□□□□□□

Ze Stow. umysłowo pracujących polek

Podając tutaj sprawozdanie z kwartalnej działalności stowarzyszenia, zacząć wypada od zaznaczenia zmiany zaprowadzonej w programie zwyczajnych tygodniowych zebrań.

Wobec nasuwających się ciągle zagadnień aktualnych, uznano za pożyteczne urządzanie wieczorów dyskusyjnych, w których wszystkie stowarzyszone znalazłyby sposobność do wypowiedzenia się na temat w krótkich słowach przez referentkę przedstawiony. Inowacya ta przyjętą została z zadowoleniem; dyskusyjne wieczory bardzo są ożywione, a niezależnie od zarządu, każdej ze stowarzyszonych przysługuje prawo wskazania przedmiotu do roztrząsania na wieczór następny. Prócz tego odbywają się, jak dawniej odczyty, i urządzają się cykle wykładów, wedle zgłoszonych przez stowarzyszone życzeń. Obecnie pani Beatusowa, znana czytelniczkom „Bluszczu" autorka, wykłada dwa razy tygodniowo historyę sztuki.

Dyskusye toczyły się przeważnie na tematy, jakich nastręczała chwila bieżąca; roztrząsano je ze strony etycznej, psychologicznej, społecznej, wychowawczej i t. d.

Streszczenie tej żywej wymiany poglądów w niejednej kwestyi zainteresowałoby może ogół naszych czytelniczek; niestety brak miejsca zmusza nas do dzielenia się z nimi tylko tematami uznanymi za najaktualniejsze.

Za jedną z tych najpilniejszych spraw, uznano poruszoną jeszcze na wiosnę r. b. kwestyę zmiany niekorzystnych dla kobiet paragrafów naszego kodeksu cywilnego. Zmianą tą zainteresuje się czynnie kilka miejscowych stowarzyszeń, a obecnie nadał jej silniejsze tętno aktualności nowy projekt ministeryalny „o rozszerzeniu praw mężatki". Projekt ten i obrady nad nim w stowarzyszeniach prowadzone omawiała wyczerpująco w № 48 „Bluszczu" p. Jastrzębska, zatrzymując się na decyzyi Tow. Prawniczego. Tutaj dodam tylko, że i nasze Stowarzyszenie postanowiło zareagować na decyzyę Tow. Prawniczego w formie listu, którego treść poniżej podajemy.

W celu naradzenia się nad projektowanemi zmianami i zapoznania się z przygotowanemi przez specyalną komisyę opracowaniami odnośnych paragrafów, zwołano na dzień 7 grudnia nadzwyczajne zebranie, które po ożywionych obradach i poczynieniu drobnych poprawek, przyjęło projekt w redakcyi komisyi.

Na wniosek kilku stowarzyszonych, dwa wieczory poświęcono sprawie wyboru zawodu dla dziewcząt ze sfery inteligentnej. Pragnąc wciągnąć szersze koła w otwartą dyskusyę, zwrócono się za pośrednictwem kwestyonaryusza do najmłodszego pokolenia kobiet,— tych, które z natury rzeczy najwięcej ta kwestya obchodzić powinna. (Odsyłamy czytelniczki do № 45 np. w którem odezwa i kwestyonaryusz w całości pomieszczone były).

Zdawałoby się, że kwestya powyższa powinna obudzić żywe zainteresowanie wśród tych, dla których podjętą została; zdawałoby się, że powinna wywołać życzliwe współdziałanie ze strony tych, które są kierowniczkami i opiekunkami kształcącej się młodzieży żeńskiej.

Chodzi tu przecież o rzecz tak ważną, jak zapobiegania przepełnieniu, które stale w niektórych zawodach wzrasta, powodując obniżkę płacy; chodzi o wyszukanie nowych, niewyzyskanych jeszcze gałęzi pracy, w których wiele sił kobiecych znaleźć by mogło właściwe pole zarobkowania. Stowarzyszenie umysłowo pracujących, posiłkując się zebranym dotąd materyałem informacyjnym, dostarczyć już może niejednej pożytecznej pod tym względem wskazówki, pragnęłoby jednak rozszerzyć zakres tej działalności stosownie do upodobań i dążeń najmłodszej generacyi kobiecej. W tym celu powołało ją do współudziału, jak się okazało, bezskutecznie. Mała ilość nadesłanych odpowiedzi świadczy o tem, że nasza żeńska młodzież rozwija się późno, że w 7-ych klasach nie zastanawia się jeszcze nad wyborem dalszego kierunku pracy.

Wieczory dyskusyjne wpłynęły na zredukowanie liczby odczytów; było ich w ubiegłym kwartale tylko trzy. Pierwszy jako swe wrażenia z wycieczki na „Inflanty polskie", wypowiedziała p. Zofia Bielicka. Część pierwsza, poświęcona zarysowi życia polskiego w tej dzielnicy, znana jest czytelniczkom naszego pisma; w drugiej objęła prelegentka opisy miejscowości, nawiązując do nich wspomnienia historyczne.

Zatrzymawszy się dłużej nad opisem Warklau, starożytnej siedziby Borchów, mówczyni powiodła słuchaczki nad Luban, jedno z największych jezior na obszarze ziem dawnej Polski.

Dzieląc się swemi wrażeniami, prelegentka barwnie przedstawiła poetyczny urok tej pustyni wodnej, której zadumana melancholia dziwnie harmonizuje ze smętnym charakterem całego kraju.

W następnym odczycie taż sama prelegentka zapoznała słuchaczki z głównemi zasadami „pragmatyzmu". Streszczenie tego wykładu jako „autoreferat" pomieszczone będzie w „Bluszczu", poprzestając więc na tej wzmiance, przechodzę do trzeciego odczytu, który wypowiedziała pani Stanisława Korczak-Popławska p. t. „Kobieta w nauce, sztuce i literaturze".

Olbrzymi rozmiarami temat w doskonale zbudowanym odczycie wystąpił w jasnych i wyrazistych konturach. Mówczyni ujęła w nim wszystkie przejawy twórczości kobiecej, poczynając od Debory, której „pieśń wojenną" w przekładzie przytoczyła. Przechodząc kolejno wszystkie epoki i wszystkie literatury świata na tle szerokiego zarysu uwypukliła drogie

nam wszystkim twórczynie-polki, zatrzymawszy się najdłużej nad trójcą poetek z ubiegłego stulecia: Żmichowską, Deotymą i Konopnicką.

Wielkie zaciekawienie budzą zapowiedziane na najbliższe posiedzenia odczyty p. Wiśniewskiej o Indyach współczesnych jako jej własne wrażenia z podróży do tego odległego kraju.

Ubiegłej niedzieli kilkanaście członkiń stowarzyszenia zwiedziło otwartą r. b. pracownię psychologiczną. Kierownik tejże, ceniony w świecie naukowym psycholog, z wielką uprzejmością pokazywał zwiedzającym przyrządy, tłómaczył ich przeznaczenie i poglądowo objaśniał sposoby posługiwania się niemi, przeprowadzając doraźnie łatwiejsze doświadczenia.

Z żywem zajęciem śledziły słuchaczki te pokazy, a w dowód zainteresowania przedmiotem, kilka pań zapisało się na szereg doświadczeń.

Z. B.

□□□□□□□□□□

Odczyt Lucjana Kobyłeckiego.

O zadaniach Towarzystwa ochrony kobiet mówił w odczycie swym z dn. 5-go grudnia w domu ludowym na ulicy Kaliksta 5 p. Lucyan Kobyłecki. We wstępie zapoznał słuchaczy z motywami, które zrodziły potrzebę podobnej instytucyi, widząc je w warunkach ekonomicznych, które zmuszają ludzi do wędrowania po świecie za pracą i zarobkiem, do przesiedlania się nie tylko ze wsi do miast, ale nawet zagranicę i za ocean. W tym ruchu emigracyjnym niepoślednie miejsce zajmują kobiety, więc narażone są na różne niebezpieczeństwa moralne i materyalne. Wiele z nich zginęłoby w tym wirze szerokiego świata, wśród pokus nęcących ułudnym blaskiem, gdyby nie wporę dana pomoc i przestroga. Zagranicą podobne organizacye opiekuńcze urządzone praktycznie—chronią tysiące dziewcząt i kobiet od upadku i nieszczęścia, u nas Towarzystwo ochrony kobiet postanowiło sobie ten cel i spełnia zadanie w miarę sił i środków, brak jednak liczniejszego zastępu pań, któreby czynną pomocą ułatwiały takowe, daje się dotkliwie odczuwać i mówca zwracał się z gorącą zachętą do zebranych i prośbą, aby nie odmawiały udziału w sprawie tak bardzo ważnej, tak głęboko leżącej na sercu społeczeństwa. Opiekowanie się młodemi dziewczętami w podróży, aby zabezpieczyć przed zasadzką ajentów-wyzyskiwaczy, udzielanie im za nizką cenę (od 30—50 kop. za dobę) schronisk, wyszukiwanie pracy i w tym celu zakładanie biur rekomendacyjnych, otwieranie filii w miastach prowincyonalnych, sekretaryatów zagranicą—oto najważniejsze punkty, na których opiera się działalność instytucyi o charakterze wysoce społecznym. Bardzo niedawno Towarzystwo stworzyło wydział „szpitalny", którego członkinie obowiązują się odwiedzać chore, bezdomne istoty, zapobiegając drugiemu ich nieszczęściu: rozpaczy, smutkowi, wypływającym z osamotnienia i nudy. Ogrom różnorodnej pracy woła o współudział jaknajszerszy, to też przysporzenie członków Towarzystwu, zapoznanie z istotną doniosłością zasługi czynnych w tej służbie społecznej, oraz apelowanie do serc, które nieświadome istnienia podobnej placówki, nie miały sposobności zapłonąć ogniem bezinteresownej ofiary z czasu i dobrej woli, oto był cel odczytu p. Kobyłeckiego, który niewątpliwie nie pozostanie bez echa.

K. Ł.

□□□□□□□□□□

Ruch kobiecy zagranicą.

W Hadze ustanowiono świeżo t. zw. opiekę mieszkaniową w sferach robotniczych i wogóle ubogich. Nie jest to jakiś dozór policyjny, lecz instytucya dobra publicznego. Na opiekunów, obowiązanych zwiedzać mieszkania każdy w swoim okręgu, wybrano członków wszystkich sfer ludności, jest to obowiązek obywatelski, spełniany honorowo, rząd liczy wiele (!) na pomoc kobiet w tym kierunku; opiekunom zawsze służy radą i pomocą urzędowy inspektor mieszkań, jemu też składają sprawozdania, praca ta ściśle jest związana ze statystyką urzędową i jej wykazami.

Norweska Akademia nauk przyjęła do swego grona pierwszą kobietę, pannę Krystynę Bonneri, kustosza laboratoryum biologicznego przy uniwersytecie w Chrystyanii. Panna Bonneri wydała cały szereg poważnych prac naukowych, do dziś jest tylko prywat. docentem, lecz w niedalekiej przyszłości obejmie katedrę biologii. Jest to wprawdzie pierwsza w Akademii norweskiej kobieta, nie przyszło jednak do głowy żadnemu z członków mężczyzn stawiać jakiekolwiek przeszkody jej przyjęciu, jak to niedawno miało miejsce w Paryżu podczas kandydatury Curie Skłodowskiej.

W Sztokholmie odbył się zjazd komitetu zarządzającego Rady Międzynarodowej kobiet, oraz jej dziewięciu komisyi: finansowej, hygieny ludowej, wychowawczej, propagandy pokoju, równouprawnienia, prasowej, praw wyborczych kobiet, równej moralności, oraz wychodźczej.

Sejm islandzki opracował świeżo projekt prawa udzielającego kobietom wstępu do wszystkich szkół wyższych, oraz obejmowania wszystkich posad urzędniczych w kraju narówni z mężczyznami, jeśli projekt ten zatwierdzi „izba wyższa" maleńkiego kraiku, kobiety uzyskają tam pełne równouprawnienie w przybytkach oświaty i w urzędach.

Ogólne zebranie międzynarodowego związku abolicyonistów odbyło się w Kolmarze. Na porządku dziennym postawiono zadania związku, jego historyę i rezultaty, osiągnięte do dnia dzisiejszego w walce z prostytucyą i reglamentacyą. Zebrania odbywały się w językach niemieckim i francuskim.

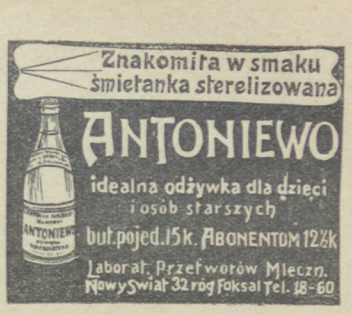

W ostatnich dniach zeszłego miesiąca zakończył się kongres kobiet w Rzymie. Jak wiadomo, ruch kobiecy włoski jest dość podzielony. Medyolan zajęty przez żywiołybardziej radykalne i oddany interesom proletaryatu i robotników, stanowi odrębne ognisko, odrębne znów Rzym. Tu udział pań z wysokiej arystokracyi wprowadza atmosferę działalności raczej filantropijnej. Do Rzymu zwracały się przed kilku laty uczestniczki Rady Międzynarodowej, była tam osobiście jej przewodnicząca, lady Aberdeen, ale wpływ Ameryki nie stał się na tyle silnym, aby wyrobić wielką agitacyę za równouprawnieniem. Zresztą i Rada sama umiarkowanych była pod tym względem dążeń. W r. 1908 odbył się z inicyatywy Rady kongres w Rzymie, niezbyt jednak szczęśliwy; jedne uczestniczki żądały, inne nie żądały równouprawnienia, przewodnicząca nie chciała udziału kobiet w polityce i t. p. Obecnie ujawniły się inne rozdźwięki. Najwpierw zakreślono zbyt szeroki program, kongres miał obradować dosłownie o wszystkiem, obradował zaś przeważnie i... namiętnie o rozwodach. Niektóre mówczynie piorunowały na niewolę skuwającą źle dobrane małżeństwa, inne jednak twierdziły, że skoro kobieta ma zdradzać paru mężów, to już lepiej niech oszukuje jednego i t. p. Potem dyskutowano długo i gwałtownie o niemoralnym wpływie konkursu piękności, który jest obyczajem ludowym. Wogóle masę było niepotrzebnych dyskusyi i niepotrzebnych punktów.

Z ogólnego rezultatu widać, że czegoś brak kongresom w Rzymie, organizacyi, czy może raczej gruntownego podkładu pracy i prawdziwych przekonań, istotnie wyrobionych i racyonalnie opartych.

N. J.

□□□□□□□□□□

Polityka daleka i blizka.

Wybory do parlamentu Rzeszy niemieckiej w całej pełni. Dotychczas wybrano już większość posłów ze wszystkich partyi, nie można jednakże ustalić dokładnie przewagi liczebnej głosów między poszczególnemi stronnictwami, gdyż po kilkunastu posłów z każdej frakcyi przechodzi do wyborów ściślejszych, z powodu, że zbyt nieznaczną była większość głosów, które na nich padły. I tak: z pomiędzy konserwatystów przechodzi do wyborów ściślejszych 49 posłów, rządowców 13, narodowo-liberałów 64, wolnomyślnych 62, polaków 10, centrowców 37, socyalistów 113. Największa jednak prawdopodobna dziś przewaga jest po stronie tych ostatnich, zyskali bowiem 28 mandatów, podczas gdy konserwatyści rządowcy i narodowo-liberalni tylko po 2, wolnomyślni stracili zupełnie 2, a centrowcy 6 posłów. Wy-

STATYSTYKA LEKÓW.

W ubiegłym roku na tem miejscu podawaliśmy sprawozdanie kliniki lek. kosmet. D-ra Lustra w Krakowie, według którego BOROXYŁ, wyróżniony został jako nieoceniony odświeżający płyn toaletowy, wspaniale udelikatniający cerę i chroniący ją od wszelkich zakażeń i nieczystości (pryszcze, wągry, liszaiki i t. p.). W ubiegłym 1911 roku zachował on w sprawozdaniu to samo dominujące miejsce z adnotacyą, iż BOROXYL obecnego rozlewu posiada nadto wzmożone wybielające leczniczochronne własności. Wyciera się twarz przed wyjściem z domu za pomocą waty, na noc zaś wciera się wilgotną skórę nieco boroxylowego kremu, który jest dopełnieniem płynu.

bory do parlamentu oparte są na zasadach powszechnego głosowania, czteroprzymiotnikowego, pozostawiają więc szerokie pole działania i względnie zupełną polityczną swobodę. Jednakże Rzesza niemiecka jest tak podzielona na stronnictwa, no i na kraje, które też mają swoje odrębności, frakcye i ambicyjki, że dotąd żadnej grupie nie udało się zebrać większości parlamentarnej, t. j. 200 głosów; wskutek tego układu stronnictw parlament niema władzy, którą sprawuje właściwie rząd.

Reakcyjna polityka rządu niemieckiego wzmogła w ostatnich czasach siły socyalistów, a faktycznie oni jedni mogliby, w razie stanowczej większości, stworzyć sobie owe 200 głosów, wtedy staliby się partyą rządzącą. Rozumie się jednak samo przez się, jaką klęską byłaby taka większość parlamentarna dla rządu niemieckiego. To też broni się od niej wszelkiemi siłami.

Ostateczne zwycięstwo zależeć będzie od tego, za kim głosować zechcą narodowo-liberalni i czy ewentualnie po wyborach utworzyliby blok z posłami socyalistycznymi. Taki blok miałby większość, lecz wtedy napewno rząd znalazłby sobie pretekst do rozwiązania tak niewygodnego parlamentu.

N. J.

Kalotechnika (Kult piękności)
Marszałkowska 116. Tel. 16-73,
usuwa: **wągry, kurzajki, brodawki, stosuje masarze kosmetyczne odmładzające cerę, rozprowadzające zmarszczki,** porady lekarskie codziennie od 4 – 6, z wyjątkiem wtorków.

□□□□□□□□□□

Drobiazgi.

Wycieczka Sokołowiaków.

W drugie święto Bożego Narodzenia przybyła do Warszawy na przeciąg dni czterech, wycieczka uczniów rolniczej szkoły zimowej z Sokołówka z pod Ciechocinka.

Wycieczkę zarząd tejże uczelni zorganizował przy współudziale Tow. Krajoznawczego, które też udzieliło wycieczkowiczom swego lokalu na mieszkanie tymczasowe.

Słuchacze, synowie gospodarscy z różnych stron kraju w liczbie 40-tu zwiedzali pod kierunkiem uludowionej inteligencyi z Warszawy i dyrektora szkoły, miasto, wystawy, fabryki, instytucye, byli w teatrze Zelwerowicza na „Weselu", które choć znane im z czytania w scenicznej interpretacyi zrobiło na nich silne wrażenie.

Po czterech dniach pobytu w stolicy, wrócili do pracy w szkole, która stara się rozwijać ich wszechstronnie i zwraca baczną uwagę na rozbudzenie samodzielności i indywidualizmu.

St. Poraj.

Towarzystwo Akcyjne
„Fr. Karpiński w Warszawie"
Ul. Elektoralna 35, tel. 600.
poleca
Karpińskiego
Mydło Alkaliczne
do mycia twarzy u osób z cerą **tłustą, połyskującą, skłonną do wągrów i pryszczy,** oraz przy **łuszczeniu się skóry.** Cena kop. 40 za szt.
W wypadkach uporczywszych używać należy
Karpińskiego
Mydła Alkalicznego Nr. 2
Cena kop. 40 za szt.
Karpińskiego
Mydła Ogórkowe
hygieniczne, usuwające **opaleniznę i piegi.**
Cena kop. 50 za szt.
Karpińskiego
Mydła Neutralne
znakomity środek hygieniczny do **pielęgnowania twarzy, rąk oraz ciała u dzieci.** Cena kop. 40 za szt.
Żądać wszędzie.

Przekonawszy się o dobroci mydeł i kremów Malinowskiego polecam je wszystkim dbałym o piękną cerę.

Aleksandra Ludwa
91 wok.

Treść numeru:

Jak słupy graniczne i jak dzwony zmartwychwstania, przez C. Walewską. — Cień, przez Wiktora Gomulickiego. — Dank Napoleona, przez Macieja Wierzbińskiego. — Zawrotne drogi, przez Tadeusza Konczyńskiego.—Salon, przez Z. Skorobohatą-Stankiewiczównę.— Sufrażystki i powszechne głosowanie, przez N. J. — Ze Stow. umysłowo pracujących polek, przez Z. B.— Odczyt Lucyana Kobyłeckiego, przez K. Ł. — Ruch kobiecy zagranicą, przez N. J. — Polityka daleka i bliska, przez N. J. — Drobiazgi.

Do niniejszego numeru dołącza się:

1) Dodatek powieściowy i „Rebeka" ark. 2.
2. Tablica kroju,
3. Dodatek gospodarski.

Do niniejszego numeru dołącza się dla wszystkich prenumeratorów „Odezwę Towarzystwa Gniazd Sierocych".

GRAND CAFÉ-RESTAUR.
bez alkoholi,
14 BILARDÓW
GRAND HOTEL
POKOJE od 1½ Rb.
WYBOROWA KUCHNIA
RENDEZ VOUS ELEGANCKIEGO ŚWIATA
KONCERTY NACHTIGALLA CO WIECZÓR.
OTW. DO 2 W NOCY
GALERJA LUXENBURG
WARSZAWA